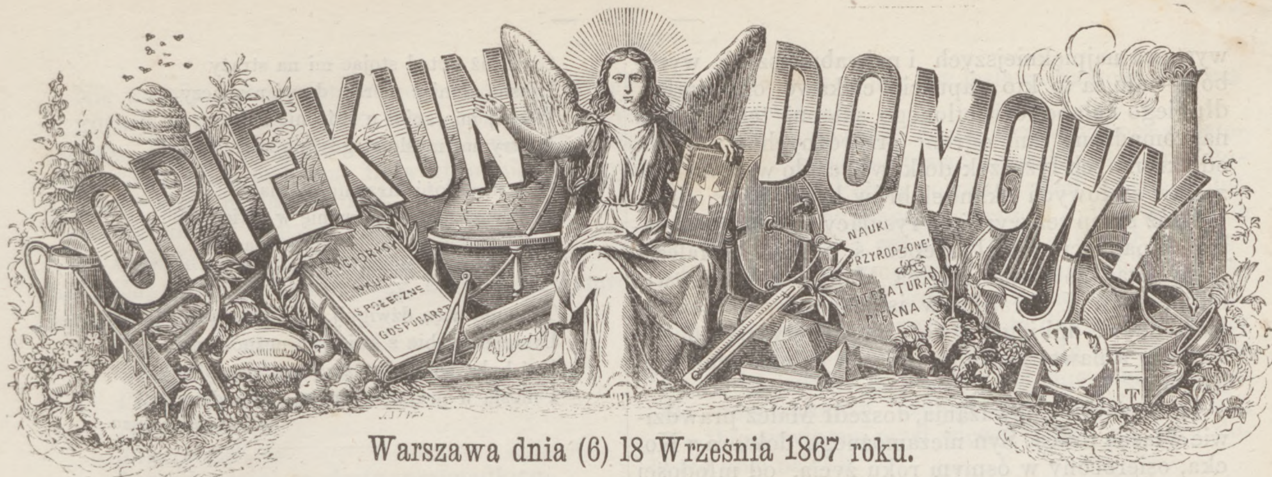


Warszawa dnia (6) 18 Września 1867 roku.

Nr 38. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

TREŚĆ. — **Karol Malcz**, przez *Al. M.* (z portretem). — **Kobiecie**, poezja, przez *Józefa z Mazowsza.*— **Samobójca**, powieść karpacka, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy). —**Wyprawa za mieszkaniem po Warszawskim bruku**, przez *Fr. Gumowskiego.*— **Alchemja**, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy).—**Rozmaitości.**— **Szkice obyczajowe**, przez *Leona Kunickiego*, (z dwoma drzeworytami).—**Korrespondencja od Redakcji.**— **Podsłuchanie gdzie się zdarzy.**

KAROL MALCZ.

Nazwisko Malczówjest w kraju, a szczególniej też było bardzo popularnem w naszym grodzie stołecznym. Zmarły kilkanaście lat temu doktór Wilhelm Malcz uświęcił swe nazwisko, a ś. p. Karol Malcz uczynił go jeszcze popularniejszem.



Karol Malcz.

Wielu z mieszkańców Warszawy i prowincji, pamiętają ze skromną wystawą sklep z wyrobami srebrnemi, umieszczony w wysokim a wązkim domu Krakowskiego Przedmieścia na wprost Poczty. Od ulicy nie uderzały oka, jak to bywa teraz, ani szyby kilka łokci kwadratowych wielkie a cal grubości mające, ani srebrzenia i lakierowania drzwi, ani pyszna

wystawa najpiękniejszych i najwabniejszych wyrobów—ale za to kto zapuścił ciekawe oko wgłąb' długiego i słabo oświetlonego sklepu, ten widział nagromadzony tam ogrom przeróżnych wyrobów, od skromnych łyżeczek do kawy, aż do wspaniałych zastaw stołowych i kandelabrów bogatych.

Otóż sklep ten wyraźnie rysujący się jeszcze w niejednej pamięci — był sklepem ś. p. Karola Malcza.

Był czas, że zwano Karola Malcza w Warszawie miljonerem. I był nim w istocie dawniej — a lubo końcowe dni jego żywota niepłynęły wśród dostatków a nawet znośności, nie on jednak temu był winien.

Do majątku i poważania, doszedł Malcz prawdziwie własną pracą. Syn niezamożnego doktora z Kocka, osierocony w ósmym roku życia, od młodości łamał się z przeszkodami.

Próbował naprzód aptekarstwa — ale nie upodobawszy go sobie, przeszedł do złotnika. Wychowany delikatnie, wiele cierpiał w latach terminu, ale silna wola przemogła.

Został czeladnikiem —został niezależnym. Ale niezależności tej nieobrócił jak inni na hulanki i próżniaczkę, lecz zaoszczędziwszy sobie kilka dukatów, puścił się za granicę—aby zwiedzić obce strony i wydoskonalić się w kunszcie. Pamięć miał ogromną i wielką zdolność nauczenia się obcych języków. Przechodząc więc obce kraje, oprócz kształcenia się w swym fachu, wyuczył się bardzo prędko i języka tego narodu, wśród którego przebywał.

W późnych latach mówił dobrze po niemiecku i francuzku, i rozmówił się wcale nie źle po angielsku, hiszpańsku, rossyjsku, węgiersku i włosku.

Powróciwszy do kraju, otworzył sklep r. 1828 najprzód w domu Celińskiego na Krakowskiem Przedmieściu, a potem w domu własnym na przeciw Poczty, i sklep ten trwał aż do chwili, gdy zaczęto kupować domy w tamtej stronie na urządzony w tem miejscu Ogród Krakowski.

Firma Malcza wkrótce doznała wielkiej wziętości.

Dobroć wyrobów, często nawet piękny gust w wyrobie, umiarkowane ceny, punktualność w wykonaniu obstalunków, a przedewszystkiem sumienność w każdym zdarzeniu—zjednały rozgłośną sławę tak Malczowi jak i jego fabryce. Przymioty te jego połączone z pracą, dały mu dobry byt i uznanie. Pierwszy stracił nie z własnej winy; ale uznanie ogółu i pamięć, zyskał na długo i cieszyć się niemi będzie po śmierci, która nastąpiła w dzień 15 Marca r. b. w Ozorkowie.

Wieczny spokój daj Boże człowiekowi pracy i sumienia.

Al. M.

KOBIECIE.

Obraz twój w czystéj lśnił apoteozie. —
Więc czyżbym ściągał sam dłoń ci do czoła,
By zewrać ztamtąd wieniec gwiazd anioła,
Na piękna ołtarz w dzikiej patrzeć zgrozie?

Jednakże czuję, żem stracił już panię:
Cóż ciebie z szczytnych piedestałów strąca?
Czy mi nie możesz powstać jaśniejąca,
Wieszczka, zwyciężyć jad myśli — poznanie?

Pieszcząc, bogacąc szatą swoją białą
Serce i serca płomieniąc zapałem;
Czy dziś, gdy myślą i życiem dojrzałem,
Pozwolisz, aby to serce.... skonało?

Czyli, aż dotąd stojąc mi na straży
I jasną słoniąc piersią drzwi rozpaczy,
Więcej mię anioł u stóp nie zobaczy,
Da tryumf myślom, gdy się serce waży?

O! jeśli miłość utrzymuje światy,
Jeśli rozwija cudną wonię w kwiatku,
Jeżeli wskrzesza i dźwiga z upadku,
I barwi zorzą nawet sen zatraty. —

Ty mnie więc dźwignij, gdy patrząc badawczo,
Utracam ciebie z świętych uczuć ramy;
Byś była, słońce! wyższą nad swe plamy
I niosła w przyszłość palmę życiodawczą.

Józef z Mazowsza.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(*Ciąg dalszy*, Patrz Nr. 37).

Karczmarz nie potrzebował długo badać, żeby się przekonać, iż Antek nie kłamał wcale. Z oczu opryszka wyczytał bardzo łatwo że nie on był zabójcą, w co zresztą tym łatwiej mu było uwierzyć, gdyż znał młodego juhasa, który się puścił w góry, i napadał po drogach więcej dla tego, że mu się przewróciło w głowie i przyszła fantazja stanąć do walki ze społeczeństwem i odznaczyć się wpośród ludzi. Antek choć z nożem i pistoletem za pasem, nie był tem jeszcze co stanowi łotra. Był młody: zachciało mu się poszaleć, pouganiać za awanturami, innej drogi odznaczenia się w życiu nie rozumiał; stare tradycje góralskie oddziałały na jego wyobraźnią i puścił się na zbój, stając się bardziej postrachem chwilowym okolicy, niż jej rzeczywistą grozą. Na tej niebezpiecznej drodze mógł dojść łatwo dalej niż myślał, mógł się posunąć aż do zbrodni, ale mógł jeszcze cofnąć się w porę, wyszumieć, znudzić się tem życiem i wrócić do poprzedniego stanu, z sumieniem obciążonem niebardzo i tylko takiemi winami, jakie chęć szczera poprawienia się i wejścia na dobrą drogą odpokutować potrafi.

W ręku Dawida Antek był narzędziem—narażał się, a karczmarz ciągnął zyski, i dla tego starał się go oszczędzać i zabezpieczać od ujęcia, którego zresztą niebardzo potrzebował się obawiać—nikt bowiem tak doskonale jak Antek nie znał gór, nikt tak się zwinnie piąć nie umiał po najstromszych spadzistościach, nikt nie był niezmordowańszym i pewniejszym siebie na jakie dziesięć mil na około. Przy tem awanturniczemu życiu Antka, sprzyjały jeszcze dwie okoliczności: był odważnym aż do zuchwalstwa i miał sympatją u górskiego ludu. Ile razy się zdarzyło, że na skutek skarg jakiego podróżnego, któremu Antek kazał się podzielić z sobą pieniędzmi, robiono poszukiwania w górach, ocalała go zawsze albo odwaga i przytomność umysłu, albo ta sympatja górali, którzy w błąd wprowadzali ścigających, lub też jeśli okoliczności pozwalały, awanturującego się chłopaka, ostrzegali o niebezpieczeństwie. Protekcja jaką miał u ludu, któremu nigdy nic złego nie zrobił, była też przyczyną, że choć władze powiatowe i cyrkułowe miały wiadomość o niejednej sprawce Antka, nie wiedziały przecież, że sam jeden tylko w okolicy zajmował się rozbojem i domyślały się całej bandy, co im nakazywało przedsiębrać kroki, od których pojedynczemu łatwiej się było uchronić.

Nie wątpiąc już że trup, którego dostrzegł Antek w górach, musiał paść ofiarą innej ręki lub przypadku, Dawid natychmiast wpadł na myśl, że sprawcą zbrodni, jeśli tam była zbrodnia, nie był zapewne kto inny jak Mrożek.

— Oglądałeś?—spytał opryszka.

— Oglądałem— odpowiedział Antek,—nie ma nic prócz torby z trochą rzeczy, które wam o zmroku przyniosę.

— Porządnie ubrany?...

— Oho!...

— Pieniędzy nic nie było?...

— Ani centa.

— Jak zabity?...

— Musiał zlecieć ze skały, przypadkiem.

— Nu, to już nie może być—odpowiedział Dawid—ludzie porządnie ubrani nie włóczą się po górach z pustą kieszenią....

— To prawda.

— Jego ktoś zabił—prawił karczmarz,—i pieniądze jemu zabrał wszystkie.

— Łotr!— zawołał rozbójnik.

— No widzisz, a teraz ja tobie powiem na kogo ludzie powiedzą że go zabił....

— No, na kogo?

— Na nikogo tylko na ciebie.

— Ba, ja powiem że to nieprawda.

— A kto ciebie słuchać będzie i pytać?... hę?...

Antek pobladł, zwykła rezolutność i odwaga opuszczać go zaczynała.

— Wszyscy powiedzą że to ty, nawet swoi— mówił mu dalej Dawid,—złapią cię i będzie po wszystkiem. Nikt się za tobą nie ujmie, nikt ci nie dopomoże, nikt cię nie ostrzeże... nawet ja.

— Dawidku ratuj—zawołał Antek błagalnie załamując ręce.

— Ty tu już nie możesz zostać.

— Ucieknę dziś jeszcze na Węgry.

— Głupstwo!—odrzekł spluwając Dawid—i tam cię złapią.

— Cóż począć?....

— Słuchaj... ja tobie poradzę... tylko zrób jak ja powiem, bo jak nie zrobisz... zginiesz marnie.

Przez cały czas tej rozmowy Dawid co chwila spoglądał przez lunetę w miejsce, w którem spodziewał się Mrożka. W tej chwili właśnie spojrzał na nowo i na zakręcie po za Zieloną górką, spostrzegł bryczkę.

Dał znak Antkowi, żeby patrzył przez szkło.

— Poznajesz kto tam jedzie...

— Oho!.... Koń Marcina... poznałem—odpowiedział wpatrując się. Antek,—Marcin wiezie jakiegoś lacha... [1]) poznałem.

— Otóż ja powiem tobie, że to ten lach zepchnął ze skały tamtego człowieka pod górą i zabrał mu wszystkie pieniądze.

— Łotr!—powtórzył opryszek.

— Teraz słuchaj uważnie—kończył szybko karczmarz,—ten człowiek nazywa się Jan Świt... ty tu zostać nie możesz... masz dobre nogi... usmól sobie twarz i ruszaj w góry tak, żebyś go przydybał... czy potrafisz?

— Oho!... on tam objeżdżać musi ze dwie mile, a ja się dostanę prosto... w lesie za Szeroką Kotliną będę go miał.

— Jak się do niego dostaniesz, przyskocz z pistoletem i każ sobie dać tysiąc reńskich... Da z pewnością, to tchórz. Potem go puść, niech jedzie dalej, a sam tu nie powracaj, pozrzucaj tylko wszystkie te twoje głupstwa, coś się w nie poubierał na opryszka i daj pokój zbójnictwu. Idź ciągle dalej tak, żebyś zawsze wiedział gdzie on zostanie dłużej, a jak gdzie pozostanie na parę dni, to daj mi znać przez ludzi gdzie jesteś i gdzie on jest. Ja tam do ciebie przyjadę... oddasz mi połowę, dopomogę ci kupić sobie gospodarstwo, ożenisz się i będziesz gazdą, a o zbójectwie nie myśl więcej. Tylko mi jego dobrze miej na oku.

Przerażony podejrzeniem zabójstwa, jakie na nim ciążyło, Antek zapomniał o sławie, jaką chciał sobie zyskać rzemiosłem opryszka, i w zupełności poszedł za radą Dawida.

Nim się rozstał z karczmarzem, ten ostatni rozpytał go się jeszcze o miejsce w którym leżało ciało zabitego w górach, na odchodnem zaś rzekł do niego:

— Tylko ty się spraw dobrze, Antek, a z pewnością wyjdziesz na ludzi. Jakby się on chciał bronić, to ty jego gdzie draśnij nożem.. on ma na sumieniu zabójstwo, to choćby ty jemu niewiem co zrobił, to on nigdzie na skargę nie pójdzie... on ma na sumieniu krew, to jak się jemu krew pokaże, to on całkiem zgłupieje.

IV.

Dopiero patrząc na Antka, jak się piął po górach i ześlizgiwał raczej niż schodził ze spadzistości, można się było przekonać, co to jest w istocie znajomość górskiej okolicy i umiejętność poruszania się w jej obrębie. Wszystkie miejsca które napotykał były dla niego już nie obce, każdą przeszkodę jaka nasuwała się do zwalczenia pokonywać miał nie po raz pierwszy. Nigdzie się nie zawahał w wyborze drogi, nigdzie nie przystanął, żeby sprawdzić czy nie zmylił kierunku, albo rozważyć w jaki sposób najdogodniej przebyć trudność miejscową, która mu się nastręczała. Jeżeli się piął na wzgórze lub przebywał niezbyt bezpieczny parów, to już było niezawodnem, że na obejście tej przeszkody jakąbądź inną drogą, potrzeba było więcej czasu niż na jej zwycięzenie wstępnym bojem; jeżeli się zaś cofał przed jaką trudnością i zbaczał od prostego kierunku, to było również niezawodnem, że nie uważa przeszkody za niepokonaną, tylko pragnie czasu oszczędzić.

Tak idąc, nie myślał o swej drodze ale o jej celu, nie klął napotykanych przeszkód jak przychodzień z dolin, bo góral kocha swoje góry nie tylko dlatego że są piękne, ale i dlatego że droga po nich nietaka jak po równinie—lubi przeszkody co mu urozmaicają podróż, i gdyby ich nie było, posmutniałby i natychmiast tęskniłby za niemi.

W drodze w myślach Antka dźwięczały słowa Dawida: „dopomogę ci kupić sobie gospodarstwo, ożenisz się, zostaniesz gazdą."

Przyszłość ta uśmiechała mu się. Marzył o niej po raz pierwszy w życiu, jako o rzeczy niewątpliwej i bliskiej. Dotąd ta nadzieja mgławo tylko i niewyraźnie jak szczyt Łomnicy lub Krywania na niebie, rysowała się czasem w jego myśli podczas głupich samotnych wycieczek, które kiedyś jako juhas po halach, potem jako opryszek po wąwozach

---

[1]) W wielu okolicach Karpat, lud górski mieszkańców dolin nazywa *lachami*.

i manowcach odbywał; teraz gdy ta nadzieja uśmiechnęła mu się bliżej, gdy spełnienie jej stało się takiem łatwem, gdy mu ją Dawid pokazał tuż przed nim—młody góral uczuł, że mu się ona bardziej uśmiecha, niż cała sława Janosika. Rzemiosło opryszka zbrzydło mu nawet. Biorąc się do niego, myślał, że się stanie taką postacią o jakich prawią góralskie legendy, postacią dzielną, awanturniczą, człowiekiem, który uczuł w sobie dosyć odwagi, aby na własną rękę wojnę ze społeczeństwem rozpocząć, być postrachem dla tych tylko co mają wiele, a dla tych co mają mało nie tylko nie być grozą, lecz niekiedy nieść im pomocną rękę, i łupem zdobytym na jednych, dzielić się nawet z drugiemi. Czy tacy opryszki byli kiedy, mniejsza o to, dość że o takich prawią w górach tradycje i Antek takim chciał zostać. Teraz gdy usłyszał, że prostą zwyczajną zbrodnię, mord i kradzież, które w sobie nic godnego legendy nie miały, ludzie mogli zwalić na niego, tylko na niego, wzdrygnął się na tę myśl i uczuł wstręt jakiś do dalszych ubiegań się za rozgłosem. Mógł zostać gazdą, człowiekiem swobodnym i niezależnym od nikogo; nie próbował jeszcze tego życia, nie miał o niem wyobrażenia, nie dotykał go, nie myślał o niem, bo był biedny i sierota—ta więc nadzieja ogromne na nim zrobiła wrażenie.

Myśl że się będzie mógł ożenić, może jeszcze silniej go uderzyła. Był młody i piękny, męzką pięknością syna karpackich wyżyn. Za niejedną z dziewcząt góralskich oko jego goniło chętnie, nie jedna na uśmiechy jego odpowiadała uśmiechami. Wszystkie jednak te zalecanki dotąd kończyły się jednakowo: albo inni dawali dziewczynie piękniejsze i droższe podarki i lepszą jej przyszłość wróżyli, i dziewczyna zapomniała o nim, albo rodzice przymuszali ją żeby poszła za bogatszego. W jednym i w drugim razie kończyło się na tem, że Antek drużbował na weselu, na którem pragnąłby być panem młodym. Niekiedy wybór jego padał na biedną i sierotę jakim był sam, ale wówczas Antek powiadał sobie.

— Cóż jej dam?... los jéj tylko zawiążę... choćby mnie chciała.

Takie przecież dziewczęta najczęściej niezbyt chętnie odpowiadały na zaloty Antka. Były ładne i w tem całą swoją przyszłość widziały, to też strzelały oczyma na bogatszych, a na niego patrzyły krzywo.

W takich chwilach widząc się odepchniętym przez te które wybierał, Antek rozmyślał, a w myśli jako przyszłość dla siebie szukał czegoś świetnego niezwykle. Dostać się do jakiego zaklętego skarbu w górach, albo zostać opryszkiem i mieć beczki złota i srebra, zdawało mu się możebnem. Z początku wybierał pierwsze. Gdzie tylko słyszał, że według podania są w górach skarby, do których zdobycia nic więcej prócz odwagi i szczęścia nie trzeba, dawał dowody odwagi i próbował szczęścia. Ale na nic się nie przydała odwaga—szczęścia nie było. Próżno noce przepędzał w najsamotniejszych miejscach, próżno się piął na najniebezpieczniejsze wyżyny lub w najciemniejsze wciskał groty, skarbu zaklętego nie znalazł. Z czasem stracił nadzieję żeby to powieść mu się mogło, chwycił się więc innej drogi—został opryszkiem, narażał się na wszystkie przygody awanturniczego życia, ale ani do beczek złota i srebra ani do sławy przyjść nie mógł, choć mu jedno i drugie wróżyły legendy.

Dawid nagle otworzył przed jego oczyma nowy cel, biegł więc do niego z zapałem.

— Raz się uwinę dobrze,—mówił do siebie—i bez trudu będę miał pięćset reńskich... zostanę gazdą... ożenię się...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wyprawa za mieszkaniem po Warszawskim bruku.

Niepodobna mi było dłużej wytrzymać w swojem mieszkaniu. Wilgoć, zimno, robactwo wszelkiego gatunku; nademną hałas z wywracanych stołków i stołów; przez ścianę bezustanne prawie ćwiczenia fortepianowe, że aż uszy bolały od tych monotonnych gamm i akordów; podemną na dole w kowalskiej kuźni, huk i ciągły łomot młotami, niby w mytologicznej pracowni Wulkana—oto co wydatniejsze przymioty mojej rezydencji, za którą gospodarzowi płaciłem rocznie okrągluteńką summę złotych ośmset. Jeżeli czasem zniecierpliwiony do najwyższego stopnia temi prawdziwemi plagami egipskiemi, odważyłem się zanieść prośbę lub skargę do właściciela domu—zawsze, ale to zawsze przyrzekano mi poprawę i zadośćuczynienie, niestety, nigdy niewypełnione. Lecz jak to mówią, wszystko ma swój koniec. Tak samo i tutaj się stało.

Raz w nocy śni mi się, że jestem na wojnie, że słyszę krzyk, tentent, jęki konających i grzmot armat; widzę jak pędzi na mnie nieprzyjaciel, uderza w głowę i rani. Krzyknąłem z przestrachu i zerwałem się na równe nogi. Wtem szyba jedna za drugą wylatują z okna, lampa się tłucze, i zadziwiony zobaczyłem przed sobą prawdziwą batalją..... Kilku ogromnych kotów, niewiedzieć jakim sposobem zakradłszy się do mego pokoju, uwijało się z jednego kąta w drugi miaucząc i becząc nielitościwie, bo czujny mój stróż Brysio, boleśnie i krwawo dawał im się we znaki. Odurzony i ogłuszony, z początku stałem jak martwy: widziałem tylko, o ile można widzieć w ciemnościach nocy, że koty biegały po wszystkich sprzętach, książkach i meblach, a Brysio za niemi uganiał się jak drugi Achilles: bił, gryzł, szarpał, szczekał, warczał i rozbijał o ziemię, a koty jak wściekłe miejsca sobie znaleść nie mogły. Naraz rzuciły się na niego; pies zaskamlał boleśnie, sunął jak oparzony, porwał napastnika w paszczę, kot beknął i upadł na ziemię; za tym drugi, i trzeci. Nareszcie wrzask wszczął się niedoopisania, a kiedym przyszedłszy do opamiętania zapalił świecę, ujrzałem tylko jak pobity nieprzyjaciel z zaiskrzonemi ślepiami w ilości trzech, czmychał oknem na dwór, tłukąc resztę niewybitych szyb. Spojrzałem dokoła i o zgrozo! wszystkie szkła porozbijane, papiery porozrzucane, odzież w nieładzie, każda część w innej stronie, w innej okolicy. Na środku pokoju stał Brysio i bohatérsko spoglądał na mnie i dumnie patrzał na swoje trofea. Trzech kotów olbrzymów leżało bez życia, przy nich dwa ogony i jedno ucho. Pies siedział rozradowany na dwóch łapach, bił kitą o ziemię i przejmująco utkwił wzrok we mnie. Pogłaskałem go. Nagle uczułem ból głowy, a gdym po niej pociągnął ręką, spostrzegłem krew. To sprawka kocia! A bodaj.... wszyscy d....... z takiem mieszkaniem! Spać już nie mogłem w żaden sposób, ale też zaledwie dzień się jaki taki zrobił, wpadłem do gospodarza jak bomba, i bez wytchnienia opowiadam mu co mi się przytrafiło. Wysłuchawszy wszystkiego jak najspokojniej, tak mi odpowiedział:

— Ha, ha, ha, ej to panie, bagatela! Wiesz pan, że to arcy zabawne. Nie jeden dałby nie wiem co za taki widok! Jak to! pan jesteś młody i pana to nie śmieszy?.. ha, ha, ha!

— Ależ panie! dobrze mu żartować i śmiać się, gdy tymczasem u mnie istne piekło: owa kuźnia, owe gammy, ta

jakaś jazda na górze i t. d. i t. d., panie tu zwarjować można!

— Ależ na Boga! kto inny na pańskiem miejscu siedziałby w tym pokoiku jak w raju. Bo proszę: przychodzisz pan wieczorem sam jeden i nudzisz się: tymczasem nad głowami pana dzieci bawią się i figlują, przez scianę panienka gra najpiękniejsze utwory na fortepianie, a pan słuchasz, zachwycasz się albo usypiasz jakby kołysany melodją. Przyznam się panu, że za ośmset złotych, to jest pół darmo...

Nie słuchałem już dalszego ciągu tych pochwał, ale wyszedłszy jeszcze prędzej aniżelim wszedł, postanowiłem za jakąbądź cenę wyprowadzić się z tego przybytku utrapienia i mąk, i wyszukać sobie bądź co bądź nowego, dogodniejszego mieszkania.

Świsnąłem na Brysia, przywdziałem zimowe palto, i ruszyłem pełen najlepszych chęci, na Warszawę.

Na S-to Jerskiej ulicy widzę mnóstwo powywieszanych kartek, zwiastujących przechodniom i interessantom, że w tej a w tej kamienicy pod właściwym numerem, jest do wynajęcia pokój jeden, dwa, trzy, a nawet więcej, z kuchnią lub bez kuchni, za bardzo tanie pieniądze. Wszedłem do pierwszego lepszego, ale zaraz na wstępie doznałem zawodu, bo gospodarz domu jeszcze się nie zbudził, a stróża nie było w bramie, więc też i nie miał mnie kto z bliższemi szczegółami objaśnić. Odszedłem. Może o kilka kroków staję i czytam, ale czytam zaciekawiony, zdumiony:

„Dwa pokoje kawalerskie do wynajęcia *darmo* od 1 Marca r. b. w oficynie na lewo, na pierwszem piętrze.”

Zaledwie przeczytałem „darmo” już byłem w sieni, a za chwilę opłacony przezemnie stróż wskazywał mi drzwi do nieocenionego właściciela, który dla dobra i przykładu całej ludzkości, tak budujące jak powyższe ogłoszenie wyświadcza przysługi. Nim ruszyłem za klamkę, nogi mi zadrżały, serce mi zadrżało z wzruszenia, bo nie wiedziałem jak stanąć przed taką wielkością, przed tym kolosem. Byli i są ludzie, którzy poświęcają życie dla dobra bliźniego, poświęcają sławę dla przyjaźni, uciechy świata dla pobożności, są ludzie którzy ostatnią koszulę oddadzą ubogiemu—ale żeby właściciel kamienicy w Warszawie pozwolił komu mieszkać darmo?—nie, tego wypadku nie było. Od czasów Warsza i Ewy aż do obecnej chwili, ani kroniki, ani historja, nie wspominają o tym cudzie, o takiej bezinteressowności. Ja to odkryłem, ja to podam do potomności, a pamięć tego cnotliwego męża nie zaginie na wieki, ale owszem kłuć ciągle będzie w oczy tych niesumiennych krzykaczy, tych pismaków i gazeciarzy co to nie mając nic do roboty, obgadują tylko jak mogą wszystkich właścicieli domów, płaczą i narzekają niesłusznie, że komorne drogie, nieznośne i t. p.

Darmo!... czy wy słyszycie, tu darmo można mieszkać w dwóch kawalerskich pokojach! Co to jest darmo.... rozumiecie?... nic się nie płaci!...

Nabrawszy odwagi, wchodzę do pokoju.

Pokój był brudny, nieczysty, niezamieciony, a rozmaite nocne i nienocne sprzęty, stały niepochowane i jakby na wystawę starożytności. Drzwi drugie nagle się zatrzasły; a jakieś spłoszone, cieńkie, piszczące głosy i śmiechy dolatywały mnie przez ścianę i dały do zrozumienia, że zbyt wcześnie tam wchodzę, że nie wszyscy jeszcze uwolnili się z objęć Morfeusza, z złotych snów i marzeń.

Niechlujstwo tłumaczyłem sobie przez niewynoszenie się nad stan i skromne życie, a niewczesną moję wizytę postanowiłem przetrzymać i czekać choćby nie wiem jak długo. Może za kwadrans drzwi się otwarły i ujrzałem przed sobą wysoką jak wieża, tłustą jak wół ukraiński, jejmość, która sapiąc, dysząc i chrząkając, grubym i basowym tonem tak mnie powitała:

— A bardzo mi miło, że mi jest.... ten... Cóż pan sobie życzy?

— Pani! czytałem ogłoszenie o dwóch pokoikach... więc chciałbym jeżeli tak jest....

— Bardzo dobrze, bardzo chętnie; tak jest....

— Więc od pierwszego Marca mogę się sprowadzić? O pani! jesteś nieocenioną! Będę się starał jakimkolwiek sposobem odwdzięczyć za tak szlachetne z jej strony postępowanie. Bądź pani pewną mego szacunku i godnego w jej domu postępowania, a dla większej pewności dozwól pani, że jej wymienię moje nazwisko: jestem Franciszek Ksawery Drużba. Więc tylko ja Drużba odtąd mam prawo do tych pokoików, czy tak pani?...

— To jest... sobie... tak... Ale widzisz pan, czy się pan zgodzi?

— Jak to! a któżby się nie zgodził...

— Bo to są tu i pewne warunki....

— Jakież? jeżeli wolno zapytać.

— Bagatelne, bagatelne, mój panie. Wprawdzie te dwa pokoje, które pan zaraz możesz zobaczyć, przyniosłyby mi rocznego dochodu najmniej dwa tysiące. Ale ja nie dbam o to. Żądałabym tylko, abyś pan czasem poszedł do Cyrkułu, załatwił meldunki i wymeldunki; abyś pan niekiedy, tego pijaka stróża dobrze wytuzował i nauczył porządku, jak się to służba powinna robić; abyś pan....

— To jest żeby przyjąć u pani obowiązki rządcy?.....

— O! broń Boże, to tylko czasem! już ja sobie radę dam. Zresztą prosiłabym pana, abyś też był łaskaw przesłuchać lekcji mojego Watka, młodego chłopczyka i kiedy niekiedy, ot — tak wieczorami.....

— Bądź pani zdrowa! dziękuję za wszystko! nie głupim —i już mnie nie było.

— Pójdź mój Brysiu, nie damy się złapać tej starej babie jak wróbel na plewy.... A to mi koncept, a to mi darmo.... Za dwie może jakie nędzne dziury, chciałaby mieć i rządcę i guwernera i licho tam jeszcze wie co. A bodaj cię!... No, i chwal tu kogo, unoś się nad jego przymiotami, kiedy pokazuje się, że z każdym wprzód trzeba beczkę soli zjeść, nim go poznasz i osądzisz. To kara boska z tymi właścicielami domów i kamienic. Jedne ulice się zaludniają, drugie nowe powstają, budynki rosną z ziemi jak grzyby po deszczu, a ceny mieszkań niesłychane, niepodobne prawie do uwierzenia, każą sobie płacić po Brennusowsku, bo posiadanie własności jest u nich wszystkiem, a reszta niczem. Co tam znaczą twoje nauki, twoja wieloliczna praca umysłowa, to bagatela! Dostaniesz za to kącik do przespania się, ale im gospodaruj, rządź, guwerneruj, bij sługi i służebnice, bo cię to nic niekosztuje, bo nie wydajesz na to brzęczącej monety, ani bankowych papierów. Powiedz im ileś pieniędzy wydał na swą edukacją, powiedz im że gdybyś przez ten czas tak postępował jak oni, miałbyś także już najmniej ze trzy kamienice, co im do tego! wzruszą ramionami i pomyślą sobie: hm, nauka, nauka.... kamienica to grunt.

Byłem zirytowany, zły, rozdraźniony, sam nie wiedziałem czego mi brakuje; więc dla skupienia myśli i zaspokojenia czczości żołądka, wstąpiłem do pierwszej spotkanej na drodze kawiarni, usiadłem w jakimś ciemnym kąciku, zapaliłem papierosa i piłem powoli usłużnie podany mi wschodni nektar, przez jakąś zaspaną boginię. Około mnie raz poraz przesuwały się i kręciły różne męzkie postacie z najrozmaitszymi wyrazami twarzy i ubioru: to w surdutach, to w paltach, to w futrach, a Bóg wie jakie dochodziły mnie od nich rozmowy, projekta, wnioski, tak, że tom cały możnaby o nich napisać. Naprzykład:

— Cóż to panie Janie, nie palicie już cygar?

— A nie, nie. Bieda bestja daje mi się wznaki: żona chora, dzieciaki rosną, bieda i kwita. Trzeba grosz oszczę-

dzać, bo kto musi to musi. Najmilszej przyjemności się pozbywam. Tak Michale, tak, bieda i bieda.

— Wiesz co Janie i u mnie to samo. We łbie mi się kręci ale zabij mnie, rady na to nie mam; chodzę jak zbity, jak struty.

— Hm, ha.... Michałku, na frasunek dobry trunek. Napijesz się?

— Ha, coż robić?

— Oj, oj! może to nas trochę rozweseli. Pal tam djabli tych wszystkich, co to zamiast poratować, doradzić, zabawić, prawią tylko ciągle: pracuj i pracuj. A cóż to, czy ja to do tego zwyczajny czy co? Widzisz go! przychodzi dziś do mnie z rana, niby to najlepszy przyjaciel ten osieł Józef, i wiesz co mi powiedział? Błazen jakiś! powiedział mi, że się wystarał dla mnie o miejsce w handlu!...

— A to głupiec!

— Widzisz, widzisz, jakich to mamy przyjaciół! Pójdź, zapijmy tę sprawę, bo nie wierzysz jak mnie to ubodło. Co będziesz pił?

— Et, tak, ten...

— No, co chcesz... mam jeszcze rubla w kieszeni.... kawy, ciastek, herbaty.... a może do Rozmanitha na buteleczkę, hę?... Pal djabli, chodź.

— A! chodźmy.

W drugim pokoju, po prawej odemnie stronie, następna znów toczyła się rozmowa.

— No i cóż Franku tak myślisz? Siedzisz, siedzisz i nic nie mówisz. Co u licha! czyś się zakochał, czy o jakim wynalazku—rozmyślasz?... Aa! zakochany. Wiem, wiem.... Milka, ha? widzisz!

— Et, nie żartuj sobie.

— Ooo! braciszku, nie wywiedziesz mnie w polę. Już ja to od kilku dni widzę, że ci jakoś głupio na sercu. Milka, Milcia... śliczne dziewczątko, jak przylepka, jak ptaszek A jakie oczki, a jaka buzia, a jak śpiewa! pamiętasz o tym kwiatku?... Zazdroszczę ci jej!

— Antku, daj pokój; w tej chwili nie o to mi chodzi.

— Fiu, fiu, nie o to; a czegoż tak siedzisz jak kapcon? Wstydź się Franku! lepiejbyś się do dziewczyny zabrał na dobre, pocałował, przycisnął, oświadczył się, a potem, potem.... weselisko! Co, nie dobrze radzę?

— Żebyś ty wiedział co mi jest, to byś zaraz inaczej gadał.

— No i cóż? to powiedz. Franku, Franiu, Franulku powiedz mi.

— Wiesz, co mi ten szelma Wicek zrobił?

— Nic nie wiem.... No cóż?

— Ach, niech go!... Słuchaj: wiesz o tem, że co kwartał płacą mu w fabryce 50 rubli; ale ojciec kutwa i sknera przykazał mu raz na zawsze, aby pieniądze składał u niego, których też nigdy już i nie widzi. Licho nadało że narobił długów po uszy, a nie widział rady jak tu z nich wyleść. Tydzień temu: przychodzi do mnie i mówi; wiesz co, odebrałem z fabryki 50 rubli, ale ich ojcu dać nie mogę, bo muszę zaspokoić długi. Ojciec mnie zje ze złości, więc musisz mi pomódz. Słyniesz jako poczciwy i zacny człowiek, każdy ci uwierzy; znasz mnie, a zatem wybaw z kłopotu. Napisz kwit że pożyczyłeś odemnie te 50 rubli, a jak go w domu pokażę ojciec się uspokoi, bo pieniądze jakby miał w kieszeni. Dziś jeszcze go podrę, a mnie o to chodzi aby tylko z ojcem przebyć najpierwszy ogień, potem wszystko wsiąknie. Albo jak chcesz, to kwit ci zaraz za godzinkę wrócę. I tak mnie prosił, tak skamlał i całował, że chociażem się tem brzydził, dla przyjaźni zrobiłem co chciał, a on—wiesz co mi teraz śpiewa?

— No?

— Wmawia we mnie żem naprawdę pożyczył od niego pieniędzy i jeżeli mu jutro 50 rubli nie oddam, to na mocy posiadanego kwitu, on i jego ojciec będą mnie skarżyć.

— Bój się Boga! to być nie może.

— Tak jest to są własne jego słowa. No i cóż, będzie skarżył, poniewierał i... wygra. Ma czarne na białem. O ja nieszczęśliwy, wczoraj ostatnie pieniądze oddałem matce i siostrom, dziś mam tylko 3 ruble, za które chciałem kupić Milce książek do czytania bom jej na jutro obiecał, a tu....

— A to mi przyjaciel! a to bezwstydnik, złodziej, rzezimieszek! No, no.... a niechci go!... Oj niech no się on w moje ręce dostanie, dam ja mu, dam. Ha, wygra szelma, wygra! Ale trudna rada, drugi raz nie bądź taki głupi, a teraz trzeba ci co poradzić. Najlepiej tak będzie: chodź zemną, mam u siebie uskładanych 100 rubli; co mają leżeć, lepiej że ci 50 pożyczę, zatkaj im niemi te śmierdzące gęby, pluń w oczy, a resztę zostaw dla mnie. Już ja im odbiję. No, czegóż się tak gapisz, nie bądźże głupim; tupnij nogą po swojemu i chodź. Po drodze kupimy jeszcze książek dla tej koteńki — i basta. Głupstwo, mój Franku, masz dziesięć palcy u rąk — masz wszystko. Chodź!

Serdeczny, wzajemny i szczery uścisk dwóch młodych chłopaków, był całą piękną odpowiedzią, zakończeniem i koroną tej poczciwej, przyjacielskiej rozmowy.

Zapłaciwszy co się należało wybiegłem na ulicę, aby raz już z jakimś lepszym skutkiem, zakończyć rozpoczęte dzieło. Dorożki krzyżowały się jedna za drugą, hałas, turkot, brzęk, krzyki, rozlatywały się po wszystkich zaułkach—zwyczajnie jak w Warszawie, jak po dużych miastach. Tu stróże, służące i baby, z gracami, widełkami i miotłami, czyszczą i zamiatają chodniki, a gdy się której robota uprzykrzy, stanie, ziewnie, przeciągnie się, czasami sobie zaśpiewa, podowcipkuje, lub biaduje np: takim podsłyszanym wierszem:

Oj Boże Bożyczku!
Lepiej to było przy cycku,
Jeść dali
I robić nie kazali.

Tam znów wesoły ulicznik leci sobie jak strzała, czasami gwiżdze, świszcze, podryga, palnie komu jaki niespodziany komplement, sunie dalej, targnie psa za ucho, i w nogi. Tu piaskarz krzyczy w niebogłosy: piasku białego! wiślanego! Słowak: rądle pobilat'! garki drutowat'! Żyd: handlej! handlej! handlej! dlej, dlej, handlej! Tu rzemieślnik spieszy do roboty, urzędnik do biura; tu w kościołach dzwonią, tu umarłego prowadzą, tu zgrabne szwaczki dążą do magazynów; tam znów piękne panie zamiatają śmieci długiemi od sukien ogonami, za niemi roje elegantów wystrojonych, wymuskanych jak lalki, jak ołowiane zabawki; wszędzie ruch, życie stuczne czy naturalne—mniejsza o to, dosyć że każdy zajęty, porwany, oczarowany tym wirem, wrzawą i kurzawą, miesza się, niknie i ginie w ogólnej stolicznej atmosferze, w tym ogólnym gorączkowym chaosie. I ja porwany podobnym prądem, przeszedłem kilka ulic prawie jakbym nie miał żadnego celu, dopiero około południa baczniej począłem zwracać oko na wywieszone karty. Cóż, kiedy najlepsze moje chęci rozbijały się albo o niedogodność lokalu, albo o zbyt przesadzone ceny. Zjadłem obiad, ruszyłem dalej. I schodziłem z połowę miasta, aż nareszcie już wieczorem znalazłem przecie to czegom szukał, czegom tak dawno pragnął, czego z tęsknotą nieomal oczekiwałem, t. j. o ile można dosyć tanie, zdrowe, porządne i spokojne mieszkanie. Dałem zadatek i zmęczony, strudzony, jak po jakiej chorobie, wracałem do domu. Wieczór był piękny, jasny; księżyc niby to żeglarz pływał sobie śmiało po bladawych, urywanych chmurkach; gwiazdki błyszczały tysiącem światełek i śmiały się z owych rzędów latarni, co jak-

by na kpiny palą się zaduszonym gazem na pryncypalniejszych ulicach. Sanki i dorożki mijały się pędem jedne przed drugiemi, śnieg skrzypiał pod nogami, straż ogniowa dawała sobie sygnały i jużem miał wchodzić do domu, już biorę za klamkę od bramy, a tu jakby na zakończenie całodziennych wrażeń, słyszę jeszcze stojącego i wyrzekającego sankarza:

— O bestyja! sielma! ażeby cię paraluż.... złodzieju! a pon, a taki pon, a gałgan!

— Co ci to, przyjacielu—zapytałem, podszedłszy bliżej.

— A pon, pon w niedźwiedziach a złodzi! o psi synu, kondlu! a niech go djabli wezną.

— Kto? co? jak to było?

— Ej, psiawiara, a pon. Jakiś sielma w niedźwiedzich szopach, kazał mi się wieść od Powązek aż tutaj. Jo staję, a jego niema. Wyskoczył gdzieś bestyja i poszedł. A pon, o wielki mi pon! takich panów nie mało tu mamy. Gałgany, szubrawce, złodzieje!

Fr. Gumowski.

A L C H E M J A.

(Dalszy ciąg.—Patrz Nr. 29).

Czwartym jakoby prawdziwym adeptem, był również człowiek o którym niewięcej jak o Setonie, Philalecie i Wagnerecku wiadomo. Nazywał się *Laskarysem*, archimandrytą klasztoru z wyspy Militeny. Historja też jego w głównej osnowie taka sama jak poprzednich. Dał swojej tynktury niejakiemu *Janowi Fryderykowi Bötticherowi* z Magdeburga, który słówko w słówko jak Sędziwój lub Starkey, chwalił się z nią przed wszystkiemi i mienił się jej wynalazcą. Bötticher odbywał próby w Dreznie w obec króla Augusta Mocnego, który go udarował szlachectwem. Posiadacz cudownego proszku żył hucznie w Dreznie, gościom jeść dawał jak nigdzie lepiej i kładł złote pieniądze pod talerze. Gdy się zapas tynktury wyczerpał, chciał wieczorem wyjechać, skutkiem czego w Königsteinie osadzonym został. Ztamtąd dopiero uciekł, lecz później znowu ujęty, trzymany był pod dozorem i nad kamieniem filozoficznym pracując, wynalazł sposoby robienia porcelany, które mu więcej podobno niż wielki eliksir korzyści przyniosły. Umarł w Dreznie 1719 r. Co do Laskarysa, miał on jeszcze innym tynktury swojej udzielać, a co się z nim samym stało—niewiadomo.

Historja ostatniego używającego podobnej czterem powyższym sławy adepta, którego projekcje wiarogodnemi świadectwami za autentyczne są uznane, jest również ciemną jak wszystkich poprzednich. Nazywał się on *Schfeld* i był rodem z górnej Austrji. Około 1746 r. zamieszkał w kąpielach w Radoim pod Wiedniem i tam w mieszkaniu dozorcy łazienek Fryderyka, w przytomności tegoż dozorcy jego żony i trzech córek, przez pewien czas dwa razy tygodniem robił złoto z cyny, topiąc ją z czerwoną tynkturą. Wielka ilość złota sprzedawana do mennicy zwróciła uwagę, rodzina Fryderyka niebyła dyskretną i gdy się rzecz rozgłosiła, kazano uwięzić Schfelda. Męczony i bity tajemnicy swej nie zdradził; osadzono go w Temeszwarze. Cesarz Franciszek sam badał tę sprawę i osobiście wypytywał Fryderyka, który zaprzysiągł, że Schfeld rzeczywiście umie robić złoto. W skutek tego wypuszczono go nareszcie, dodano mu jednak dwóch lotaryńskich oficerów od dziecka wychowanych przez cesarza i na których wierności polegać można było. Byli oni obowiązani donosić o każdym kroku Schfelda, który robił w obec nich rozmaite doświadczenia alchemiczne, a nareszcie uciekł razem z niemi. Daléj historja jego jest już zupełnie niepewną, zdaje się jednak, że później w Amsterdamie i Halli robił projekcje, których autentyczności trudno coś zarzucić.

Wiek XVII i XVIII wydały jeszcze niejednego adepta, pomijamy tu jednak wszystkich tych, których projekcje z łatwością podane być mogą w wątpliwość i poprzestajemy na pięciu powyższych; stanowią oni bowiem najważniejszy punkt oparcia wszystkich wierzących w możność uszlachetnienia metali.

Co do nas, wyznajemy otwarcie, że nie o tyle jesteśmy przeciwnikami możności osiągnięcia celu jaki sobie alchemja założyła, o ile *niewierzymy* we wszystkie piękne historje o ludziach robiących złoto, i wszystkie najpoważniejsze i najwiarogodniejsze nawet świadectwa, przypisujemy złudzeniu świadczących.

Może kto przecież zarzucić, że pierwsi pisarze którzy własności wielkiego magisterium określili, opisywali rzecz, która istniała rzeczywiście i któréj jedynie sposób otrzymania zaginął. Gdyby tak było, piszący o kamieniu filozoficznym nie przypisywaliby mu własności *niedorzecznych*, nie mówiliby mianowicie: że można za pomocą przymieszki jednej i tej samej tynktury do rozmaitych metali, jeden zawsze metal otrzymywać. Tak słynny Seton jednym i tymże samym proszkiem, miedź i merkurjusz w złoto przemieniał—jest to tak rażącym nonsensem, jakim byłoby utrzymywać, że herbata i kawa stają się jednym i tym samym napojem, po dolaniu do nich śmietanki.

Nie głosząc tedy nawet za ostatecznie niemożebną możności rozłożenia szlachetnych metali na pierwiastki i następnego ich złożenia, każdy rozsądny człowiek przyznać musi, że gdyby mniemani adepci mieli rzeczywiście eliksir, nie przypisywaliby mu własności niedorzecznych, że zatem mniemane odkrycia kamienia mędrców, były tylko usiłowaniami wykonania z góry nakreślonego programu. *(Dokończenie nastąpi).*

ROZMAITOŚCI.

— **Najtańszy materjał tkacki.** Ruskie pisma ogłosiły niedawno ciekawy sposób wyrabiania odzieży z igieł sosnowych, wynaleziony przez prostego włościanina Bobrowa. Podług wynalazcy, materjał ten otrzymuje się w następny sposób: nabrać igieł sosnowych (a z biedy i z innych iglastych drzew), wsypać do garnka do dwóch trzecich objętości, przykryć igły drewnianem denkiem składającem się z dwóch połów, i nalać na to zwyczajnego mocnego ługu aż po brzegi, tak jednak, by igły nie wydobyły się z pod denka na wierzch. Garnki przyrządzone w ten sposób wstawić do pieca, którego gorąco powinno być takie same jak przy robieniu kwasu. Gotować także tak długo jak się kwas gotuje. Gdy zaś massa stężeje, t. j. gdy igły zmiękną i leżeć będą pod płynem podobnym do gęstego sosu, po ostygnięciu płyn zlać precz, igły zaś przemyć wodą rzeczną, wyżąć i utłuc w drewnianej stępie, takimże samym stęporem. Przytem należy kilkakrotnie igły wykładać na przetak i przemywać wodą rzeczną. Materjał będzie gotowy, gdy już nie ma zieloności, gdy włókna będą delikatne, a cała massa podobna do sierści. W ówczas potrzeba ją wysuszyć

rozskubać i prząść jak zwykłą wełnę; poczem robić odzież tak, jak ze zwykłej przędzy. Za rzetelność tego sposobu nie ręczymy, bośmy sami go nie probowali, wszakże to pewna, że gdyby się on okazał praktycznym, nie byłoby dla ludzi ubogich tańszej odzieży. Wartoby go sprobować.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI Opiekuna Domowego.

— *Pani Felicji G..... w Żołobkach.* Stosownie do żądania Pani, pośpieszamy zawiadomić, iż nadesłaną przez Nią kwotę rs. 2, otrzymaliśmy.

— *Panu Michałowi L.* Komedyjka „Ostatnia próba" w Opiekunie drukowaną nie będzie.

— Prenumerator naszego pisma, który się podpisał *Parafianin,* żądał w obszernym liście, ażebyśmy ogłosili jego pomysł dobro ogółu mający na celu. Streszczamy go tutaj: proponuje mianowicie szanowny Parafianin, ażeby na każde pięć tysięcy mieszkańców prowicjonalnych miast, był jeden lekarz etatowy na prawach urzędnika i jedna apteka; żeby na lekarza składali się mieszkańcy po kop. 15 rocznie, a on pobierać ma honorarium od tychże po kop. 5 za poradę; żeby dla lekarzy wolno praktykujących ustanowione było normalne honorarium po kop. 30; że apteki a przynajmniej apteczki mogą być małe, schludne bez kosztownych oznak zewnętrznych i komfortu wewnętrznego, z wyjaśnieniem, iż z powiększeniem liczby tychże, zmniejszyłyby się może dochody, ale byłaby przynajmniej emulacja pod względem taniości, akuratności i szybkiej usługi.

Dopóki to nie nastąpi, kończy autor projektu, niech się nie wydaje dziwnem, że biedny tanich a możliwych środków chwytać się będzie, aby tylko utrzymać zdrowie swojej rodziny i swoje, tak dla jej istnienia potrzebne.

Z całego serca przyklaskujemy powyższemu pomysłowi i życzyć tylko możemy, ażeby się jak najprędzej ziścił. Nie zgadzamy się w jednym tylko szczególe, że powiększenie aptek po miastach przyczyniłoby się do obudzenia emulacji pod względem taniości. Przepisy dotąd obowiązujące ścisle przestrzegają, ażeby ceny lekarstw wszędzie były jednostajne podług taksy corocznie zmienianej ustanawiane. Przepisy te mają zupełną szłuszność za sobą, gdyż emulacja w tej mierze do zgubnych tylko dla zdrowia ogólnego następstw, doprowadzić by mogła. Cała czynność aptekarza powinna zostawać pod najściślejszą kontrolą ogółu i władzy; jakżeby można ją wykonywać, gdyby nie zapewnić temuż godziwych zysków, wymagając nawet ażeby takowe osiągał, nie ścieśniając rozumie się popędów dobroczynnych. Wolno też jemu odstępować procenta na szpitale, wolno wydawać lekarstwa bezpłatnie dla biednych, ale nie wolno dla przynęty zniżać ceny lekarstw, bo to już byłoby z jego strony frymarczeniem i spekulacją, którą dopuszczając, musianoby tolerować użycie do lekarstw nie koniecznie wyborowych materjałów, przysposobienie ich nie z jak największą troskliwością i t. p. Dzisiaj, przy zapewnieniu jak wyżej powiedzieliśmy, aptekarz może zyskać, ale najmniejsze jego uchybienie podług prawa karnego pociąga za sobą odpowiedzialność. Lekarstwo, to nie każdy inny towar, ze sprzedaży którego właściciel może postępować zupełnie podług swego upodobania. Już na najważniejsze artykuły żywności, jak chleb i mięso istniały dawniej taksy; zniesienie ich przy łatwiejszej kontroli nadużyć, jako nad przedmiotami jednorodnemi, nie pozwalało przewidywać szkodliwych następstw, — konkurencji wszakże jak dotąd nie obudziło.

Zresztą możnaby z przyrostem ludności miejskiej zezwolić na powiększanie stosunkowe liczby aptek na prowincji, jeżeli projekt Dr. Wilczyńskiego co do zaprowadzenia lekarzy gminnych przyjdzie do skutku; wtenczas bowiem i ludność wiejska, zwłaszcza przy spodziewanym jéj polepszeniu dobrobytu, częściej by udawała się po lekarstwa do apteki i powiększała jej dochody.

Przy otwarciu b. Medyko-Chirurgicznej Akademji w Warszawie, Rząd miał na myśli zaradzić potrzebom prowincji pod względem braku tam lekarskiej pomocy; ustanowiony był bowiem przepis obowiązujący młodych lekarzy, którzy w ciągu pobierania nauk uwolnieni byli od wnoszenia opłat za takowe, do przebywania na prowincji pewnej liczby lat podług wskazania władzy. Chwalebna to była myśl Dr. Kochańskiego b. Głównego Inspektora Służby Zdrowia w Królestwie, pierwszego organizatora tejże Akademji.

A-y.

SZKICE OBYCZAJOWE,

Leona Kunickiego.



1.

DŁUŻNIK RZETELNY.

„Trafny to wyraz Wierzy — ciele.... I oni wierzą cielęta co mi popożyczali pieniądze że im oddam!....



2.

SYNALEK POSTĘPOWY.

Ojciec. Edukacja twoja kosztowała mnie 40 tysięcy.

Syn. Ja zwracam Ojcu moją edukację, a proszę o 40 tysięcy.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(*W Restauracji*).

Gość. Ja przecież zamówiłem *całą* porcją.

Garson. To też to, proszę pana jest cała.

Gość. Cała!... no proszę!... trzeba jej przez mikroskop na talerzu szukać.

Ciekawym jak też u was wyglądają pół porcje?

Garson. O! proszę pana, nie są większe.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, Adam Mieczyński.